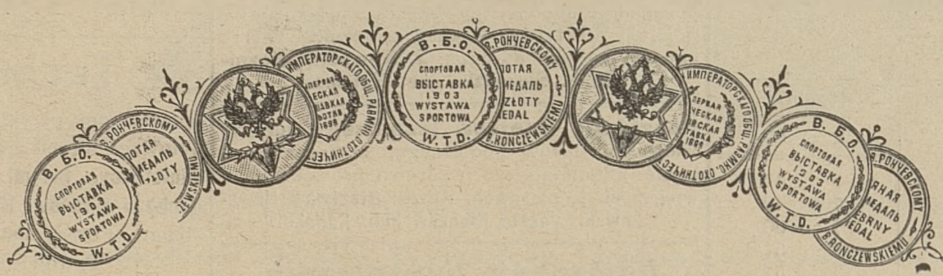
Nr. 10. Warszawa, d. 16 Maja 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).



KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W maju wolno polować na dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), kaczory i słonki na ciągu.

Lunacya w maju.

Ostat. kw. d. 23 o g. 1 w nocy.
Nów d. 30 o g. 4 rano.

Wschód i Zachód Słońca

w maju.

Dnia	Wschód g.	Wschód m.	Zachód g.	Zachód m.
16	4	7	7	47
17	4	5	7	49
18	4	3	7	50
19	4	2	7	51
20	3	59	7	52
21	3	58	7	53
22	3	57	7	55
23	3	56	7	56
24	3	55	7	58
25	3	54	7	59
26	3	53	8	2
27	3	51	8	3
28	3	50	8	4
29	3	49	8	6
30	3	48	8	7
31	3	47	8	8

DZIEŁA MYŚLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

„Kuropatwa". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nadleśnego dóbr Wilanowskich. Dzieło to równie jak i poprzednie, zawiera liczne, objaśniające rysunki i równie wyczerpująco traktuje hodowlę tego kulturalnego ptaka. **60 kop.**

„Sarna". Monografia sarny, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Zając pospolity". Monografia, napisana przez *Wiktora Stephana*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. pr. myśl. Monografia ta wyczerpująco przedstawia tego najpospolitszego na naszych polach zwierza, stanowiącego najważniejszy objekt łowiectwa naszego. **70 kop.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra *O. Hilfreicha*. Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

„Myślistwo z ogary" przez *Jana hr. Ostroroga*, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

„Kuropatwa szara, czyli pospolita". Monografia, napisana przez *Juliana Biesiekierskiego*, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Dzieło to, z licznemi illustracyami w tekscie, traktuje wyczerpująco hodowlę i ochronę tego ptaka, który jest stałym mieszkańcem pól naszych i jako taki, winien być dokładnie przez naszych myśliwych poznany. **80 kop.**

„Żywienie jeleni i sarn" napisał *Dr. Max Neumeister*, dyrektor Królewsko-saskiej akademii leśnej. Dziełko to wskazuje, jak i kiedy żywić należy swoje zwierzostany, aby dochować się licznych i pięknych egzemplarzy. **60 kop.**

„Hodowla bażantów" przez *Goedde*. Dzieło to, uzupełnione i poprawione przez królewskiego bażantarnika z Fürstenwaldu na Śląsku, Staffel'a, jest dotychczas uważane za najlepszy podręcznik w hodowli bażantów w Niemczech. Liczne rysunki objaśniają tekst dzieła. **1 rb.**

„Sztuka strzelania i polowania" przez *Karola Lancaster'a*. Dziełko to napisane przez wybornego znawcę broni, jako pierwszorzędnego puszkarza wszechświatowej sławy, zawiera niezmiernie cenne wskazówki teoretyczne i praktyczne dla każdego strzelca. Jest to cała teorya strzelania którą każdy myśliwy przyswoić sobie winien koniecznie. **80 kop**

„Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu" — Cejlon — przez *Józefa hr. Potockiego*. Wszystkie uwagi nasze zamieszczane przy poprzedniem dziele, stosują się w całości i do tych notatek. **75 kop**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 220.

Nr. 10. | Warszawa, d. 16 maja 1908 r. | Rok X.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



KACZE ZALOTY.

Pojawienie się pustynników na Wołyniu.

P. Gustaw Szawłowski z Berezna na Wołyniu nadesłał nam w d. 11 maja świeżutki okaz pustynnika *(Syrohaptes paradoxus)*. Według listu, ptak ten został odebrany jastrzębiowi. Do Warszawy został przesłany wraz z mięsem i przybył w stanie kompletnej świeżości. Ponieważ list p. Szawłowskiego nosi datę 7 maja, przypuszczać należy, że okaz ten został w dniu tym, a najwyżej dnia poprzedniego zdobyty.

Wiadomością tą dzielimy się z pp. myśliwymi w tym celu, aby zechcieli zwracać uwagę, czy pustynniki nie pojawią się w innych częściach kraju.

Pustynnik zamieszkuje stepy zachodniej i środkowej Azyi, lecz w pewnych okresach czasu robi większe migracye do Europy, jak to się przytrafiło w latach 1863 i 1888 r.

W następnym numerze „Łowca Polskiego“ zamieścimy bliższe szczegóły o tym, ze wszech miar ciekawym ptaku. Tymczasem dla wiadomości osób nieznających pustynnika, podajemy, że jest to ptak wielkości turkawki, z małą główką, na krótkich nóżkach, upierzonych całkowicie wraz z palcami, które są ze sobą zrośnięte. Skrzydła ma pustynnik bardzo długie i ostre; w ogonie dwa środkowe piórka są wydłużone i ku końcowi nitkowate. Ptak jest płowy z czarną na plecach pstrocizną. Brzuch ma brunatno-czarny. Samczyk posiada gardziel i brwi rdzawo-pomarańczowego koloru.

Gdyby który z pp. myśliwych ptaka tego zabił lub przynajmniej obserwował, prosimy o łaskawe nadesłanie nam wiadomości o tem.

W ostatniej chwili p. Albert Mniszek, redaktor „Łowca“ lwowskiego komunikuje mi, że pustynniki pojawiły się całemi stadami w powiatach: kałuskim i rohatyńskim (Galicya wschodnia).

Jan Sztolcman.

Antagonizm królików i zajęcy.

Powszechnie znanym jest fakt, że zające z trudnością mogą się utrzymać na tych terenach, gdzie się rozmnożyły króliki. We wszystkich krajach, gdzie oba te gatunki zwierzyny żyją obok siebie, zając ulega swemu silniejszemu i żywotniejszemu rywalowi, powoli ginie, aż w końcu liczba jego w rewirach, zamieszkanych przez króliki, zostaje zredukowaną do minimum. Powszechnem jest mniemanie, że większa płodność i żywotność królika jest tego przyczyną. Okazuje się jednak z najnowszych obserwacyj, że ta przyczyna, jakkolwiek bardzo niewątpliwie ważna, jest do pewnego stopnia pośrednią, gdy obok niej istnieje inna bezpośrednia, a mianowicie kastrowanie zajęcy przez króliki. Pierwszy zwrócił na to uwagę we Francyi p. Kunstler, który złożył o tem odpowiedni referat w Towarzystwie biologicznem w Bordeaux. Jako potwierdzenie faktu paryskie pismo łowieckie „Le Saint-Hubert Club Illustrée“, organ francuskiego Towarzystwa myśliwskiego Saint-Hubert Club de France, publikuje świeżo dwa listy swych członków, które w całości tutaj przytaczamy:

„Panie Prezesie“!

„Jako potwierdzenie komunikatu p. Kunstlera, odczytanego w Biologicznem Towarzystwie w Bordeaux, dotyczącego kastrowania zajęcy przez królików, mogę Panu przytoczyć fakt następujący:

„Otrzymawszy w prezencie zająca (samca), puściłem go do niewielkiej królikarni, zasiedlonej przez króliki, w nadziei, że tą drogą otrzymam leporidy*).

Na drugi dzień spostrzegłem, że zając jest zgarbiony, jakby chory. Złapałem go i wtedy się przekonałem, że biedaka spotkał los Abelarda.

„W naszych królikarniach w Bussy, gdzie zabija się 4 do 5,000 królików rocznie, zając jest wielką rzadkością, gdy na polach w bezpośredniem sąsiedztwie, jeden z moich przyjaciół zabił 7 zajęcy w wigilię zamknięcia polowania.

„Łatwo jest zrozumieć, dlaczego zając unika sąsiedztwa królików.

„Raczy Pan przyjąć etc.

„Lucyan Miltat
członek S. H. C. F.“.

---

*) Mieszańce królików i zajęcy *(Przyp. Red.)*.

CZTERY PORY ROKU.

(Dokończenie).

Niebawem wpadliśmy w las, pogrążając się w cień odwiecznych sosen. Światło księżyca przeciskało się gdzieniegdzie przez ich gęste korony, rzucając jasne, fantastyczne plamy na grzbiety końskie i do połowy zagrzebane w słomie postacie moich towarzyszów. Pan Świerczkowski, odwróciwszy się do stangreta, kazał mu jechać stępa, następnie wyrzucił na drogę wiązkę słomy, przymocowaną na długim sznurze do sanek, a mającą naśladować biegnące prosię, i zwrócił się do Ziniewicza: „Teraz pora — zaczynaj muzykę!“ W stercie kożuchów zrobił się ruch, wynurzyła się stamtąd para rąk i wnet znikła w słomie; po chwili głośny kwik rozdarł mroźne powietrze i odtąd brzmiał prawie bez przerwy, przechodząc z wysokich, piskliwych nutek aż do chrypłego basu, pełnego srogiej rozpaczy: tak prosiak wyrażał swój protest przeciwko manipulacyom, które na jego osobie wykonywał biegły w swym kunszcie leśnik.

Jechaliśmy, bacznie rozglądając się po okolicy, w nadziei ujrzenia wilków, lecz pusto i cicho było dokoła. Las stawał się coraz rzadszym; w końcu między wysmukłymi pniami sosen zamigotały światełka zasypiającego miasteczka, które malowniczo rozrzuciło pomiędzy lasami na stromych brzegach rzeczki swe pobielone śniegiem domki. Tutaj, według zapewnień okolicznych leśników, stale grasowała duża banda wilków, wykradając po nocach z chlewów i obórek dobytek ubogich mieszczan; to też dążyliśmy w tę stronę w nadziei spotkania zuchwałych rabusiów i dania im należytej nauczki.

Głucho zahuczał lód na rzece pod kopytami końskiemi, i znów wtargnęliśmy w mroczne, tajemnicze królestwo lasu. Potężne świerki wznosiły tu ku niebu zaśnieżone swe wierzchołki, kąpiąc je w promieniach księżyca, a młode pokolenie zwartą ławą cisnęło się wzdłuż drogi, tak zasypane śniegiem, że, zdawało się, niepodobna było by przedrzeć się przez nie bez pomocy siekiery i łopaty. Cicho było w lesie, czasem tylko, nakształt wystrzału z pistoletu, rozlegał się trzask pękającego od mrozu drzewa lub cichym, niepewnym jakimś głosem zakwiliła sowa. Sanie nasze chyżo sunęły po wyjeżdżonej drodze, a wiązka słomy pełzła z tyłu, podskakując na wybojach. Jakiś zapóźniony mieszczanin, powracający zapewne z jarmar-

„Panie Prezesie!

„Przeczytałem właśnie w ostatnim numerze Pańskiego pisma artykuł, przedrukowany z czasopisma „Revue du Tourisme et des Sports", w którym jest mowa o antagonizmie zajęcy i królików.

„Autor przypisuje tę walkę instynktom płciowym; według mego skromnego mniemania, należy uważać za przyczynę tego nienawiść rasową.

„Przed kilku laty, pragnąc zasiedlić moje tereny myśliwskie, nabyłem pewną ilość zajęcy belgijskich (samic), przyczem sprzedający je upewnił mnie, że są to leporidy, nadzwyczaj płodne, mające obyczaje zajęcy, i doskonale łączące się z zającami naszego kraju.

„Rozczarowany nieco po przybyciu tych zwierząt, które zakwalifikowałem odrazu jako zwyczajne króliki, postanowiłem jednak spróbować łączenia ich z zającami.

„Puściłem więc jednego zająca—samca do tych samic, które natychmiast rzuciły się na niego, gryząc go i drapiąc. Zaledwie zdołałem go obronić od napaści tych dzikich zwierzątek.

„Wówczas puściłem na jego miejsce królika, i ten został jaknajlepiej przyjęty.

„Po kilku dniach zapragnąłem powtórzyć raz jeszcze doświadczenie, lecz puszczając tym razem zająca z jedną samicą. Przez ciąg całego dnia nie zauważyłem żadnej bójki.

„Nazajutrz mój dozorca przyszedł zawiadomić mnie, że zając znajduje się w opłakanym stanie. Poszedłem natychmiast i zastałem biedne stworzenie nietylko z poszarpanemi bokami i brzuchem, lecz nadto z odciętym ogonem i *jądrami*. Wkrótce potem zając zdechł.

„Fakt ten wystarcza chyba, aby dowieść, że wojna wypowiedziana zającom przez króliki, nie ma za przyczynę instynktów płciowych, lecz nienawiść rasową.

„Raczy Pan przyjąć etc.

„G. Lemaistre".

Powyższe fakta niechaj służą za naukę dla tych panów-hodowców, którzyby pragnęli rozmnożyć u siebie króliki. Nietylko, że sprowadzą na siebie i na sąsiadów prawdziwą plagę egipską, ale nadto pozbawią swe tereny tak miłej zwierzyny, jak zając, który zarówno pod względem myśliwskim, jak i kulinarnym, stoi o całe niebo wyżej od królika.

J. S.

Życie płciowe u zwierząt.

W angielskiej „Contemporary Review" ogłosił dr. S. Woods-Hutchinson bardzo zajmujący artykuł „O stosunkach małżeńskich u zwierząt", którego myśl przewodnia streszcza się w zdaniu: „Kto kwestyonuje istnienie, a nawet „świętość" związku małżeńskiego u zwierząt, ten nie jest dobrym znawcą świata zwierzęcego. My ludzie, nie mamy wcale monopolu na cnoty, nie wyłączając wierności małżeńskiej". Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak dalsze wywody d-ra Hutchinsona są bardzo interesujące: „Małpy, najwięcej zbliżone do ludzi, pisze on — są w wysokim stopniu monogamiczne i to przez życie całe. Inne gatunki małp są także zwolennikami monogamii, ale na czas krótszy. To samo powiedzieć można o lemurach. Zwierzęta żywiące się owadami, nie były nigdy poligamiczne, aczkolwiek niekiedy stosunki ich płciowe odznaczały się pewną swobodą. Natomiast stworzeniom, stojącym na nizkim stopniu rozwoju, jak np. gadom, brak zasad monogamicznych. Tak tedy można według mojego przekonania, twierdzić z dużem prawdopodobieństwem, że człowiek pierwotny, pomimo pewnych skłonności do swobody płciowej, został przez długoletni rozwój przygotowany do jednożeństwa. Nowoczesne projekty zaprowadzenia małżeństw na pewien czas i tym podobnych form wielożeństwa zepchnęłyby ludzkość na niższy stopień rozwoju, niż ten, który już przed lat tysiącami osiągnęły najwyższe gatunki małp.

U ptaków i zwierząt istnieją wprawdzie najrozmaitsze rodzaje stosunków małżeńskich, ale znaczna większość ich jest monogamiczna. Wśród ptaków jedne gatunki przewyższają zwierzęta ssące, z wyjątkiem małp najpodobniejszych do ludzi, w przywiązaniu małżeńskiem. Stopień ich wierności dożywotniej jest bardzo wysoki; inne gatunki natomiast stoją poniżej poziomu normalnego, jak np. kosy i kukułki. Stosunek ilościowy tych dwóch rodzajów ptasich jest jednak taki, że prawdopodobnie 90 procent z nich są monogamami w dość ścisłem znaczeniu tego słowa.

Trwałość związku małżeńskiego u zwierząt jest pierwotnie zazwyczaj ograniczona czasem, w którym potomstwo potrzebuje opieki rodzicielskiej, aby się wyżywić i do walki z życiem przygotować. Monogamiczne małżeństwo, trwające przez życie całe, jest zatem dotychczas najwyższą formą rozwoju. Przeżyła ona wszystkie inne formy i przyjęta została przez każdą rasę panującą, bo gwarantuje największą ilość silnych potomków. Rasa monogamiczna zwycięży w końcu zawsze rasy poligamiczne.

---

ku do domu, śpiesznie zjechał nam z drogi, topiąc prawie w niezgłębionym śniegu lichą swoją szkapinę, i długo oglądał się za naszym pojazdem, żegnając się trwożnie; dziwny zapewne widok przedstawiały cztery nasze nieruchome figury, zakutane od stóp do głów, i olbrzymie sanie, mknące przez las przy akompaniamencie dzikich wrzasków prosiaka.

Jeździliśmy w ten sposób już kilka godzin, a wilki nie dawały o sobie znaku życia. Nareszcie, gdyśmy wyjechali na łąkę, długim i wązkim klinem wrzynającą się w las, i mijaliśmy pękaty stóg siana, przykryty białą czapką śniegu, szarpnął mnie za rękaw Ziniewicz i, wskazując na ciemny tunel drogi leśnej, zkąd wydostaliśmy się przed chwilą, szepnął: „Wilki"... Rzeczywiście, dwa niewyraźne cienie oddzieliły się od lasu i szły trop w trop za nami w przyzwoitej jednak odległości. Musiał je dojrzeć także p. Świerczkowski, bo wydobył schowane w rękawach futra swe chropowate, ziemistego koloru ręce, dla których niczem był najstraszliwszy mróz, i palcami, podobnymi do sęków starej, zmurszałej wierzby, majstrował coś przy zamkach kapiszonówki. Zsunąłem na tył głowy baszłyk, opadający mi wciąż na oczy, i bez szmeru podniosłem kurki, wpijając się palcami w szyjkę kolby. Wilki zbliżały się, powoli jednak, co chwila opuszczając pyski do ziemi i węsząc podejrzliwie. „Mocniej! duś go, łajdaka, nie żałuj!" syczał przytłumiony szept pana Świerczkowskiego, próżne jednak były wysiłki leśnika: zmęczony prosiak gonił resztkami sił i tylko od czasu do czasu wydawał rozpaczliwe kwiknięcie, zachowując zresztą uporczywe milczenie. Pomimo to odległość między nami a wilkami zmniejszała się stopniowo, aż wreszcie towarzysz mój, podnosząc nieznacznie kolbę do ramienia, szepnął, nachylając się do mnie: „Pan—prawego, ja—lewego"... W chwili gdy jeden z wilków skoczył naprzód, przemógłszy strach, i zbliżał się już do wiązki słomy, rozległy się jednocześnie prawie dwa nasze strzały: jeden z wilków, ugodzony loftkami pana Świerczkowskiego, pozostał na miejscu, mój zaś, jakby chcąc złapać koniec własnego ogona, zakręcił się w kółko i pomknął, jak szalony, przecinając w poprzek łąkę. Dwa nasze następne strzały nie zrobiły mu żadnej szkody, bo konie, nastraszone pierwszą salwą, targnęły i poniosły, przeszkadzając wziąć na cel dokładnie. Wkrótce szara jego postać zniknęła nam z oczu, roztapiając się w białych odmętach nocy. Wciągnęliśmy zabitego wilka na sanie, zasłoniwszy oczy koniom, gdyż na widok martwego zwierzęcia zaczęły stawać dęba i dokazywać, i poszliśmy we trzech śladem ranionego przezemnie wilka; splątany trop, farba, obficie

Wraz z rozwojem rodzajów znika powoli swoboda płciowa lub chwilowy związek na czas parzenia i powstaje albo trwała forma poligamii, albo częściej — ściśle określona forma monoganii, która niejednokrotnie trwa przez życie całe. Oprócz małp, wszystkie wyższe gatunki mięsożernych ssaków są jednożeńcami, np.: tygrys, lew, lampart, lis, szakal, a także dzik, niektóre antylopy i t. d. Wyższa moralność dzikich zwierząt dlatego nie zwracała uwagi ludzkiej, ponieważ właśnie zwierzęta pod wpływem domestykacyi wróciły do wielożeństwa. I tak np. dzik, który był zupełnie monogamiczny i prawdopodobnie dochowywał wierności małżeńskiej przez całe życie, pełniąc wzorowo obowiązki ojcowskie, zatracił, jako świnia domowa, swoje zalety. To samo powiedzieć można o psie, o ile go za wilka obłaskawionego uważać będziemy. Dr. Hutchinson twierdzi nawet, że człowiekowi dlatego tylko udało się obłaskawić nie więcej jak 8—9 zwierząt i ptaków, ponieważ zwierzęta te miały z natury tak silnie rozwinięte skłonności poligamiczne, że z łatwością cofnęły się z wyżyn rozwoju monogamicznego do narzuconej im przez hodowcę-człowieka poligamii. Inne zwierzęta nagiąć się nie mogły do celów ludzkich i wymierają w niewoli. Złe obyczaje kukułki rozwinęły się, zdaniem przyrodnika angielskiego, na tle „niemoralności płciowej" poliandrycznych samiczek.

Kukułka — mówi on — uprawia prawdopodobnie poliandryę. I dlatego to samiczka, przyjmująca zaloty tuzina samców, nie ma czasu zająć się nudną budową własnego gniazda. I żaden też z wesołych samczyków nie pomógłby jej w tej robocie.

WYPRAWA MYŚLIWSKA

do krainy Massaï.

Przez

Edwarda Troianowskiego.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ X.

Noc w obozie. — Obfitość zwierzyny. — Próżne poszukiwanie lwów. — Spotykam naraz pięć lwów. — Wspaniały okaz Eland'a. — Szalona burza. — Powrót.

1 kwietnia. Gdy piszę te słowa, noc już zapadła późna, — księżyc w całej pełni oświetla srebrnym blaskiem nieskończone przestrzenie stepów i dalekie wzgórza. Od czasu do czasu przeciągły ryk hyen, zmieniający się niekiedy w odgłos podobny do śmiechu, przerywa ciszę; hyenom wtórują szakale. To znów zebry, głosem, podobnym do psiego szczekania, zwołują się w gromady. Czasami stado kaczek przeleci nad obozem, świszcząc skrzydłami.

W ciągu dnia, polując na stepach, widziałem conajmniej z *dziesięć tysięcy* sztuk przeróżnej zwierzyny. Główną część stanowiły zebry, Gnu, Kongoni i gazelle Thomsona. Strzelałem na daleką metę do strusi, lecz bezskutecznie. Strasznie to ostrożne ptaki i nie łatwo do nich się zbliżyć, szczególnie w tych okolicach, gdzie brak osłony.

Na 300 metrów udało mi się położyć pysznego kozła gazelli Granta *(Gazella Granti)*, którego rogi, pod względem formy, za jedne z najładniejszych uważam.

2 kwietnia. Dawno nie widziałem tak cudnego wschodu słońca, jak dziś rano! Te parę chwil, które tu, pod równikiem, oddzielają noc od dnia, są wprost nie do opisania. Jakaż harmonia i różnorodność barw! Pogoda ustaliła się na nowo i od paru dni upał po staremu dokucza. Dziś ponownie przeniosłem obóz w kierunku zachodnim o parę godzin drogi. Jesteśmy, jakoby w krainie lwów, jak mnie objaśniają moi ludzie — niestety, jednakże wszystkie wąwozy i jaskinie zastałem opuszczone. Co robić i gdzie szukać tych przeklętych panów pustyni?!

Próżno zrywam się w nocy, nadsłuchując, skąd ryk mnie dochodzi, próżno przed świtem wyruszam na poszukiwania i o zmroku wracam do obozu. Już tylko kilka dni pozostało mi do powrotu i z rozpaczą myślę, że trzeba będzie opuścić ten kraj bez należytej rozprawy z królem zwierząt. A przecież ta myśl przywiodła mnie tutaj i codzień, gdy zmordowany siadam przy ognisku, marzę, że może jutro los łaskawszym się okaże.

I znowuż przed wschodem słońca wymaszerowałem na przejrzenie i przeszukanie wszystkich okolicznych wąwozów i kryjówek, w których można się spodziewać, że lwy, chroniąc się przed upałem, dzień tam spędzają.

Kryjówki te to olbrzymie, podziemne jaskinie, porośnięte od góry i przy wejściu najczęściej krzewami i pnączemi roślinami; stanowią one jakoby samoistne pałace. Wszystko zastałem opuszczone i zamieszkane jedynie przez hyeny, których śladów co niemiara na każdym spotykałem kroku. Szedłem dalej, postępując ciągle w kierunku południowo-zachodnim w pobliżu zupełnie prawie że wyschniętego łożyska Stony Athy. Karawana moja, składająca się już obecnie z 75 ludzi, posuwała się długim wężem w odległości paruwiorstowej.

---

bryzgająca na obie jego strony, i często spotykane przez nas legowiska świadczyły, że zwierz jest ciężko ranny i daleko nie pójdzie. Z początku tropienie szło dobrze, lecz później, w szczerem polu, dokąd ku niemałemu naszemu zdziwieniu dążył wilk, wionął naprzeciwko nam leciutki, północny wietrzyk, niewróżący nic dobrego: poruszył on sypkie i lotne masy śniegu, po powierzchni którego zaczęły pełzać ruchliwe żmijki białego pyłu, zacierając stopniowo wilcze ślady. Niewiadomo kiedy i zkąd napłynęły poszarpane chmurki, podobne do kłaków waty, i coraz częściej przesłaniały sobą księżyc; na północy zwolna rosły jakieś mętne, bezbarwne tumany, napawając serce bezwiedną trwogą. Dobrze wiedząc, co znaczy śnieżna zadymka przy dwudziestokilkostopniowym mrozie, wróciliśmy czemprędzej do koni, plącząc się w długich futrach i raz po raz przewracając, i co żywo pognaliśmy do domu. Czas był na to, bo kiedyśmy w dwie godziny później siedzieli przy szumiącym samowarze i gorącą herbatą rozgrzewali skostniałe członki, wichura na dobre rozszalała się na dworze, z wściekłością bijąc o szyby garściami suchego śniegu: trzeba się było pożegnać raz na zawsze z myślą odszukania mego postrzałka.

*
* *

Jak wówczas, w ową pamiętną grudniową noc, tak samo i dzisiaj, po wielu latach, w chwili, gdy piszę te słowa, śnieżna zadymka huczy na dworze. Przez podwójne szyby słychać, jak złowrogim świstem kosmatych gałęzi walczą z nawałnicą dwa stare świerki, co od niepamiętnych czasów trzymają straż przed domem; wicher tęsknie zawodzi w kominie, a przed oknem, jak białe widma, raz po raz przesuwają się kłęby śnieżnej kurzawy. Jakże zimno i smutno musi być teraz na wiejskim cmentarzu, gdzie szereg obnażonych modrzewi napróżno stara się ochronić przed zawieją mogiłę pana Świerczkowskiego: już ją zalały białe fale, i tylko krzyż wznosi ku niebu drewniane ramiona, jakby się chciał wyrwać z tej śnieżnej topieli.

J. Woyniłowicz.

Dwóch moich strzelców Massai szło samem łożyskiem, ja zaś nieco dalej z boku rzeki.

Około godz. 10-ej rano chłopiec, idący przedenmną, wskazał mi coś na prawo i w tejże samej chwili ujrzałem, jak 5 lwów, wyszedłszy na przybrzeżne urwisko, kłusem pomknęło przed siebie i wkrótce zginęło w zaroślach. Wysławszy czemprędzej posłańca, by wstrzymać idących łożyskiem rzeki ludzi, sam zaś, co sił, zataczając paruwiorstowy łuk, nie zważając na upał, pędziłem nad rzekę, i usiadłszy nad brzegiem, czekałem na ludzi, pędzących przed sobą lwy łożyskiem, które, przypuszczałem, trzymać się będą gęstych, nadbrzeżnych zarośli.

Minęło parę godzin, jak wiek długich, w oczekiwaniu spotkania. Niestety, nie powiodło się i tym razem— ludzie nadeszli, a lwy przepadły, wymknąwszy się zapewne bokiem; lub przywarowały i przepuściły ludzi obok siebie.

Około 5-ej nadeszła reszta mej karawany, której wydałem rozkaz założenia obozu w lasku akacyowym, opodal rosnącym, gdzie przed dwoma miesiącami obozowałem. W odległości paruwiorstowej zauważyłem duże stado Eland'ów ze wspaniałym samcem na czele. Postanowiłem skorzystać z reszty dnia i spróbować szczęścia.

Idąc, to czołgając się naprzemian łożyskiem jakiegoś maleńkiego dopływu Stony Athy, podszedłem stado na sto kilkadziesiąt metrów.

Dalej iść było nie sposób, więc wychyliwszy się ostrożnie z ukrycia, posłałem mą pierwszą kulę z 9 mm. Mausera, ciężko raniąc największą ze stada sztukę. Spłoszone antylopy, nie wiedząc, skąd padł strzał, wprost na mnie pomknęły. Dałem jeszcze dwa strzały do pierwszej ranionej sztuki, która padła o kilkanaście kroków odemnie.

Był to okaz, dorównywający wzrostem i tuszą dobrym, europejskim stadnikom. Godnym uwagi jest potężny kark o bujnem uwłosieniu, stanowiącem na czole grzywę, pośród której wyrastają rogi o formie prostej, ze spiralną obsadą, stosunkowo jednak do swej grubości dość krótkie, stare bowiem zwierzęta przycierają je sobie.

Dwudziestu pięciu ludzi późną porą z trudem przytransportowało poćwiartowaną sztukę do obozu.

4 kwietnia. W nocy burza rozszalała się nad obozem. Czarne chmury, nadciągnąwszy z wieczora, zdawały się całą swą zawartość na nas wylewać. Co parę sekund złote zygzaki błyskawic, połączone z szalonym grzmotem, przerzynały firmament. Już nie krople, lecz potoki całe wody lały się na ziemię. Ognie zagasły, zalane doszczętnie i ciemność, przerywana błyskawicami, ogarnęła nas.

Zrana wstało słońce, jakoby zaspane lub zawstydzone tem, co się w nocy działo. Step rozmiękł, w niektórych miejscach potworzyły się istne jeziora. Parę drzew w lasku akacyowym leżało zwalonych przez nocną wichurę.

Dzień dzisiejszy spędziłem w obozie, kości mnie bolą, wskutek wczorajszego potłuczenia przy przechodzeniu przez skalisty brzeg rzeki przy pościgu za lwami; przytem czuję się strasznie zmęczonym. Korzystam, prócz tego z niedzieli i słodkim oddaję się *dolce far-niente,* a raczej porządkowaniu mych rzeczy, zbierając siły do dalszej pracy, która i tak niedługo już, niestety, dobiegnie do końca.

I znów cały dzień dzisiejszy zeszedł na bezowocnem przeszukiwaniu wąwozów, w których, oprócz dwóch hyen, nic więcej nie odnalazłem, a i do tych parę razy strzelając, spudłowałem. Rezultatem całodziennego polowania jest dzik o dobrych kłach.

Po południu przeniosłem obóz o parę godzin drogi, w kierunku Nairobi i dzisiejszej nocy obozuję nad stromym, skalistym wąwozem, porośniętym kaktusami i agawami. Okolica obfituje w strusie, które jednakże są tak ostrożne, że nie udało mi się przyjść do strzału.

Następnego dnia, wychodząc na polowanie, poleciłem ponownie przenieść obóz w kierunku Nairobi, od którego już dziś tylko kilkanaście godzin drogi nas oddziela. Sam zaś, zataczając ogromne koło, doszedłem raz jeszcze w okolice lasku akacyowego i Stony Athy. Ośm godzin marszu wśród szalonego upału — na próżno!!

Postrzeliłem po drodze kozła Granta i mimo, żem dwie godziny za nim chodził, nie udało mi się go dostać. Wróciłem do obozu, goniąc resztkami sił. Jutro dobijamy do Nairobi.

Towarzysz mój ostatnimy czasy bardzo podupadł na zdrowiu i z trudem mógł postępować z karawaną, którą od kilku dni posuwałem krótkimi bardzo marszami.

Czeka go zapewne pobyt w szpitalu, mnie zaś porządkowanie i pakowanie swych trofeów. Statek, na którym wracam do Europy, odchodzi od Mambassa za 8 dni; jeżeli się uda, to może jeszcze na jeden, lub dwa dni na stepy powrócę

Kilka dni, które pozostały do odejścia mego statku, minęły szybko na przygotowaniach do wyjazdu i na polowanie już czasu zabrakło. Powracając, oknem wagonu spoglądałem na stada antylop i gazelli, pasących się na stepie; żegnałem je, jako dobrych swych znajomych i towarzyszy.

Wreszcie nadeszła chwila wyjazdu.

Parowiec, na którego pokładzie w powrotną miałem się udać drogę, przybył o świcie do portu w Kilindini.

Około 10-ej podnieśliśmy kotwicę i powoli brzegi, porośnięte palmami, poczęły ginąć w oddali, w niebieskiej rozpływając się mgle.

Żegnaj kraju, w którym tyle miłych przeżyłem chwil, żegnajcie stepy i lasy dziewicze.

Do widzenia!!...

W kwietniu 1904 roku

na pokładzie „Kurfürsta".

LALIN.

(Ciąg dalszy).

Teraz zacząłem mu się bacznie przyglądać, głównie co prawda ze względu na jego psa. Cała figura obserwowanego, żeby ją w paru słowach określić, była krótko mówiąc, dość marna. Chcąc jednak ze względu na dalszy ciąg tego opowiadania dokładniej z nią łaskawego czytelnika zaznajomić, postaram się o więcej treściwe i szczegółowe scharakteryzowanie.

Był to wcale ciekawy egzemplarz, bo może około pięćdziesięcioletni człowiek, niewielkiego wzrostu, ruchliwy, o małej, szpiczastej głowie i również małych, zielonkawych, lisich oczkach, o niepomiernie przytem dużym, gruszkowatym nosie, kalafiorowatego ustroju i purpurowo-fioletowego zabarwienia, oznaka niechybnie i wymownie świadcząca o niezawodnem posiadaniu nieodzownego w zanadrzu instrumentu w postaci tirbuszona, czyli korkociąga; zarost miał przytem tak nędzny, że właściwie mówiąc, trudno byłoby stanowczo orzec, czy on jest, czy też go niema: był tam jakiś ślad pod efektownie dominującą trąbą-nosem w miejscu, w którem zwykle wąsy wyrastają i również niby coś nieokreślonego, wypłowiałego koloru w formie pędzelka pod brodą. Odziany był mniej więcej odpowiednio: miał na sobie jakiś długi, bronzowego koloru, załojony i do stanu skrojony kaftan, podejrzanym, cienkim rzemykiem podpasany i dla dopełnienia całości na głowie futrzaną, zrudziałą i mocno wytartą, widocznie starą bardzo czapkę.

W takiej mniej więcej kondycyi jegomościa tego obserwowałem z daleka i choć jego „exterieur" był nie-

zbyt ujmujący, pomimo to jednak nie spuszczałem zeń oka, tembardziej, że do ucha mego doleciał ciekawy urywek opowiadania o jego fenomenalnych sukcesach myśliwskich; ze słów jego zrozumiałem, że zabił on już tej jesieni w okolicy Bawandajki w końcu października jednego niedźwiedzia, „jak wam wiadomo"—dodaje; drugiego, olbrzymiego w d. 8 listopada w dalszej okolicy od stacyi i kopalni węgla Sudżenki i w pobliżu wsi Baranówki, a dziś powtórnie podąża w te same strony, gdzie zostawił psy i broń od ostatniego polowania i ma zabrać wywiezionego z tajgi zabitego tam zwierza, a zarazem zapolować na dwa jeszcze pewne niedźwiedzie, o parę wiorst tylko jeden od drugiego zalegle.

Było zaiste o czem opowiadać. Mocno zaintrygowany już po drugim dzwonku pośpieszyłem wsiąść do naszego przedziału i jaknajprędzej swoje miejsce zająć. Resza nie było jeszcze; widziałem go w pierwszej chwili wysiadania, jak po drodze zachodził do telegrafu, ale na sali pasażerskiej nie pokazywał się wcale. Niecierpliwiłem się więc, chcąc co prędzej przed chwilą słyszanem opowiadaniem podzielić się z towarzyszem swoim; czas dłużył mi się i zdawało się, że nie doczekam trzeciego dzwonka, tak byłem podniecony i naelektryzowany. Nareszcie i trzeci dzwonek, potem świstawka konduktora, która mi się na ten raz wydała niezwykle przeraźliwą, jeszcze dobre pół minuty zwykłej na Syberyjskiej kolei zwłoki, a Resza wciąż niema; nakoniec pociąg wolno rusza i jednocześnie prawie wpadają z impetem — pierwszy Resz, a drugi za nim ów pogromca niedźwiedzi we własnej osobie ze swym psem nieodłącznym.

Widocznie uprzednio rozpoczęta rozmowa kontynuuje się w dalszym ciągu z wielkiem ożywieniem; robi ona wrażenie jakiegoś chaosu na razie i przypomina ten rodzaj pośpiesznego, bez ułożonego planu i ładu opowiadania, jaki się zdarza, kiedy kto chce jednym tchem na raz dużo rzeczy ciekawych i wrażeń silnych z siebie wylać.

Łatwo domyśleć się, że jako wątek i materyał służył głównie niewyczerpany temat polowania na niedźwiedzie; na pierwszy plan wystąpiły oczywiście specyalne psy, t. j. łajki-szczekacze, o które jest nadzwyczaj trudno. Jest to prawda, kwestyi niepodlegająca.

Jedne wypadki nadzwyczajne zmieniły się u opowiadającego na inne, jeszcze nieprawdopodobniejsze. Potok słów był zarówno, jak i treść, —zdumiewające. Słuchałem tego wszystkiego spokojnie, w kąt zacisnąwszy się i wtedy mimowolnie przyszło mi na myśl stosowne w takich razach rosyjskie przysłowie: „nie lubo, nie słuszaj, a wrat' nie mieszaj", co znaczy: nie miło ci, nie słuchaj, a łgać nie przeszkadzaj. My na to mamy łagodniejsze, delikatniejsze określenie, jest niem wyraz „koloryzować". Koloryzował tedy niewyczerpany i rozgadany, aż uszy puchły, nic sobie z nas widocznie nie robiąc.

Zachęcony prawdopodobnie naszem uważnem słuchaniem, rozgadawszy się w dalszym ciągu na ten, tak wdzięczny temat, nasz narator i posiadacz pięknego psa, utrzymywał stanowczo, z czem rzeczywiście nie można się nie zgodzić, że prawdziwie porządne polowanie na niedźwiedzia nie może się bez doskonałych psów odbyć; przy tej sposobności zwrócił uwagę na swego psa, którego sam nabył niedawno za dwa ruble i który, według charakterystycznych cech, jemu tylko znanych, powinien bezwarunkowo iść kapitalnie na niedźwiedzia.

Zaintrygowany tą rozmową, która mnie w wysokim stopniu zaciekawiła, wtrąciłem coś, zwracając się do p. Resza. Nasz nieznajomy, widząc, że jesteśmy znajomi, pośpieszył natychmiast przedstawić się, i zwracając się nagle do mnie, wyrzekł: „Lalin".

Podaliśmy sobie dłonie, i jednocześnie hamując cisnący się natarczywie na usta uśmiech, spojrzeliśmy porozumiewawczo z p. Reszem.

Rzeczywiście był to dziwny conajmniej traf: przyjąwszy kogoś na chybił trafił za urojoną ni z tąd ni z owąd osobę i omyliwszy się w swojem przypuszczeniu, po paru niespełna godzinach nadzwyczajnym jakimś przypadkiem spotkać i poznać w istocie tego, o kim myślało się i mówiło tyle. Coś podobnego może się zdarzyć chyba raz na cztery lata, i to w roku przestępnym, jakim był w istocie rok 1904.

Dowiedziałem się wtedy takich rzeczy, o których, żebym żył sto lat, nie dowiedziałbym się napewno, np. że w całem wielkiem państwie Rosyjskiem najlepsze gończe psy, oczywiście są to psy Lalina, że jego łajki sławne są od Uralu do Kamczatki, a na kynologicznych wystawach nikt w obecności Lalina nie śmie nawet ust otworzyć; że on jeden tylko jest wyrocznią w orzeczeniu czystości psich ras, i jego słowo w tej sprawie jest decydującem.

Ze wszystkimi Wielkimi Książętami jest on, t. j. Lalin, ma się rozumieć, na stopie poufałej, a nierozważny ks. Szachmatow-Szirinskij za śmiałość oponowania, polemizując w „Prirodie i Ochotie", popamięta go długo. Nazwiska Golicynów, Gorczakowów, Naryszkinów, Szeremetiewów, Bariatinskich, Jusupowów, Kudaszewów, Koczubejów i wielu jeszcze, których dziś nie przypomnę, sypały się, jak z rogu obfitości, a mówiło się o tych dostojnikach i przedstawicielach arystokracyi rodowej rosyjskiej i stosunku do nich tak, jak o rzeczy najnaturalniejszej w świecie, jak o kamratach swoich, do których, klepiąc poufale po ramieniu, mówi się: „Fuszerze, po szóstym ledwie koniaku, już ci się ze łba kurzyć zaczyna".

(C. d. n.).

Z literatury łowieckiej.

Wycieczka do Pilawina.

(A Trip to Pilawin).

W pięknej bardzo, zbytkownej szacie wyszła w świat angielska książka, napisana przez R. Lydekkera, naturalistę i sportsmana, który odbył podróż z Londynu do Pilawina, specyalnie dla zwiedzenia jedynego w swoim rodzaju parku jeleni w Europie. Lydekker jest pierwszym Anglikiem, który odbył tę rzeczywiście wyjątkowo specyalną podróż, i pierwszym, który dał dla angielskiego świata myśliwych szczegółową monografię Pilawińskiego zwierzyńca.

Książkę poprzedza słowo wstępne, napisane przez właściciela Pilawina, hr. Józefa Potockiego, w którem autor daje wyjaśnienie genezy swego pięknego przedsięwzięcia.

Hr. Potocki miał początkowo zamiar zaaklimatyzować na Wołyniu łosie, których właściwe środowisko leży nieco na północ od Wołynia, lecz za bytności swej w Anglii i po zwiedzeniu słynnego parku księcia Bedford w Woburnie, hrabia rozszerzył znacznie początkowe zamiary i powziął postanowienie zaaklimatyzować w lasach Pilawina (nazwa ta idzie od herbu Potockich) pokrewne gatunki północnej Ameryki i Azyi. Korzystając z każdej okazyi, założyciel parku nabywał amerykańskie, syberyjskie, kaukaskie i mandżurskie, Dybowskiego jelenie, wreszcie dzięki interwencyi księcia Koczubeja, otrzymał hr. Potocki od Cesarza wspaniały dar trzech żubrów z Białowieży. Dwa bizony amerykańskie, sprowadzone przez Hagenbecka, dopełniły kolekcyę.

Pan Lydekker podróż swą odbył z córką, co mu nie przeszkodziło jednak, jak widać z treści książki, dobrze wyeksploatować krótki, bo 10 dni liczący pobyt w Pilawinie, — książka bowiem zawiera nietylko najbardziej szczegółowy opis parku, ale wiele detali z podróży, luźno już tylko z istotą jej związanych.

Nie będziemy więc tu zatrzymywali się na wrażeniach autora, odniesionych przy przejeździe przez Warszawę, wrażeniach zbyt powierzchownych i niemających dla nas zgoła żadnego znaczenia, lecz staniemy odrazu z naszym podróżnikiem... w Antoninach. Antoniny — rezydencya hr. Józefa Potockiego — pałac i otoczenie przedstawiają same przez się już w oczach autora—ogro-

mny materyał do napisania pięknych stronic. Wspaniała serya licznych trofeów afrykańskiej i indyjskiej grubej zwierzyny, jako rezultat licznych podróży myśliwskich hrabiego: do Indyj Wschodnich, Ceylonu, Somalilandu i nad Nil Niebieski. Zwracają tu szczególniejszą uwagę autora, najbardziej jednak głowy: — *Oryx beisa* i gazeli *Ammodorcas clarkei*. Osobiście autora najwięcej zafrapowały skóry lwa i lwicy z kraju Somali, które posiadają charakterystyczne brunatne plamy na bokach i dolnych kończynach. Szczególniejszą właściwością skór lwa tego gatunku jest nieobecność grzywy. W jednym z kurytarzy pierwszego piętra znajduje się pyszna grupa wypchanych zwierząt złożona z niedźwiedzicy i trzech młodych—zabitych przez hrabiego w północnej Rosyi w 1905 roku. Niedźwiedzie wyginęły na Wołyniu już blizko od dwuch wieków; znacznie dłużej utrzymały się w Pilawinie. Wilków, jednakże zabito jeszcze w 1905 roku dwa, w pobliżu Antonińskiego pałacu.

Pomiędzy najciekawszymi dziwami, cudami, (wonders) Antonińskiego pałacu cytuje autor książki piwnice kolosalnych, imponujących rozmiarów, które posiadają wina węgierskie aż z 1693 roku.

Ogrody pałacowe, liczące około stu lat, są wcieleniem marzeń o pięknie i malowniczości. Nie mówiąc już o położeniu, o cudach kwietników, Anglika naturalistę zachwyca przedewszystkiem zadziwiająco piękny starodrzew, niesłychanych wysokości sykomory, dąb, i wiązy.

Na kilku stronicach p. Lydekker zajmuje się opisem geologicznego ustroju ziemi wołyńskiej od Antonin, które leżą na południu od stacyi kolejowej Szepetówka — aż do Pilawina, położonego o 80 kilometrów na północ od linii kolejowej, — i przechodzi do opisu Pilawina.

Las stanowiący Pilawin, zajmuje 7,000 akrów przestrzeni, otoczonej drewnianym parkanem 8 stóp wysokim. Cała zaś leśna przestrzeń, z której wykrojono Pilawin, zajmuje około 30,000 akrów.

Mijamy wrota wiejskiej konstrukcyi ozdobione rogami i herbem Potockich i wchodzimy na szeroki, otwarty teren, będący w posiadaniu dwuch młodych, bo zaledwie 2 lata liczących niedźwiedzi. Mają tu one swoją satysfakcyę w postaci dwóch obalonych, olbrzymich drzew, po których z lubością łażą te czworonogi. Mają one też tu dużą kawernę, w której kryją się podczas dużych upałów.

Pozostawiamy w spokoju tych „portierów“ puszczy i zbliżamy się do „loży strzeleckiej“ — jak nazywa Lydekker domek myśliwski, z drzewa zbudowany, malowniczy, a służący za biuro zarządu parkowego i za pied-à-terre gości. I tu znów pokój pierwszego piętra zachwyca angielskiego sportsmana ogromną ilością pięknej ornamentyki w postaci rogów, jelenich, łosiowych i wapiti, oraz wypchanych okazów orłów, głuszców i czarnych bocianów (Ciconia nigra.

Najpiękniejsza, znajdująca się tu para rogów łosia posiada interesującą i dramatyczną historyę. Oto były właściciel tych rogów, jakiś łoś, zbrodniczego temperamentu pełen, spotkawszy Bogu ducha winnego, miejscowego wieśniaka — zabił go. Ledwo odszedł od miejsca swego zbójeckiego postępku, został zaatakowany przez wojowniczego wapiti z taką furyą, że padł na miejscu. Tak wapiti zemścił się na łosiu za śmierć człowieka. Cała epopeja.

Las pilawiński nie mniej od fauny w nim zamieszkałej godzien jest uwagi ze względu na pyszne okazy starodrzewia, ze względu na nadzwyczaj staranną konserwacyę, gdyż las ten nie podlega żadnej eksploatacyi. Odbywają się w nim jedynie roboty wycinania potrzebnych dróg, usuwania zgniłych drzew, kopania niezbędnych kanałów, tworzenia sztucznych wód i polanek dla bizonów.

Sosna, dąb — oto zasadnicze gatunki lasu.

Z ciekawszych, obcych okazów roślinnych zasługuje na szczególniejszą uwagę krymska azalya — doskonale tu zaaklimatyzowana przez Tatarów przed dwoma wiekami.

Przechodząc do tematu zwierzyny, zaznaczyć należy, że przed oparkanieniem Pilawina główną zwierzyną tych okolic był jeleń; dziś po za Pilawinem jest on jedyną poważną zwierzyną, gdyż łoś mieszka nieco na północ dopiero, niedźwiedzie wyginęły tu już od dwóch wieków, ostatnie wilki padają jeszcze pod strzałami myśliwych, ryś ostatni oddał swą skórę kilkanaście lat temu, zajęcy jest niewiele. Z ptaków spotyka się kaczki, żórawie i bociany; tym ostatnim Lydekker poświęca parę słów ze względu na pewne tradycyjne przywileje — jakimi się cieszy w naszym kraju „bociek“.

Czarne bociany spotyka się w Pilawinie dość rzadko, to też angielski naturalista rad był niezmiernie, że spotkał je podczas krótkiej tam swej bytności. W cietrzewie i głuszce, kaczki i bekasy obfituje puszcza pilawińska; kilka gatunków orłów, sowy dopełniają listę większych przedstawicieli ptactwa miejscowego.

Po tych ogólnych wzmiankach książka Lydekkera w drugiej swojej połowie traktuje już wyłącznie to, co stanowi „gwóźdź“ Pilawina — t. j. jelenie i gatunki pokrewne, — t. j. wszystkie obce krajowi okazy, aklimatyzowane w parku.

Gruba zwierzyna Pilawina składa się z żubrów, amerykańskich bizonów, łosiów, perskich i kaukazkich jeleni, amerykańskich wapiti, ałtajskich i sajańskich wapiti, ciemno-brunatnych wapiti z doliny Jeniseju, jeleni pekińskich, zwanych Dybowskiego i wreszcie syberyjskich. Dla sportsmena największym czarem w Pilawinie jest widzieć zwierzynę wśród właściwego jej otoczenia, w zupełnie naturalnych warunkach, właściwych danemu rodzajowi. Przestrzeń Pilawina jest tak ogromna, że zwierzyna nie ma poczucia uwięzienia w klatce, choć faktycznie tak jest, i dlatego tak się znakomicie zaaklimatyzowała. Ogromna rozmaitość w naturalnym układzie lasu, wód i przestrzeni wolnych pozwala każdej zwierzynie wynaleźć sobie najmilsze dla siebie środowisko. Łoś trzyma się gąszczu zdecydowanego lasu, gdy bizon woli otwarte przestrzenie z przylegającym lasem, któryby go mógł ukryć na wszelki wypadek. Nasz znów jeleń lubi zmiany.

Pomimo częstego spotykania człowieka już to przy orce i zasiewie gruntów wolnych, już przy porządkach leśnych, już to służby leśnej, gości, lub myśliwych — zwierzyna zachowała całą swą dzikość i dobrze jest szczególniej podczas rykowiska, unikać zbliżenia do samców.

Zdarzają się też od czasu do czasu wypadki groźniejszego starcia jakegoś byka, czy rogacza z człowiekiem, częściej pomiędzy sobą. Ofiarą takiego ataku padł, naprz. byk, bizon amerykański, co stanowiło bardzo poważną stratę wobec tego, że w byku tym zginął jedyny przedstawiciel męzki tego gatunku w Pilawinie.

Dla dokładnego obrazu parku pilawińskiego przejdźmy z Lydekkerem szereg wrażeń, jakie on miał podczas swej bytności pierwszego zaraz dnia.

„Po przejściu jakiejś wiorsty od domku myśliwskiego ujrzeliśmy naprzód“, — pisze autor — „pięknego rogacza wapiti spokojnie odpoczywającego na obszernej polance; nie wychodząc z lasu, mogliśmy się zbliżyć do niego na jakieś sto kroków. Wkrótce potem spotykamy jeszcze jednego wapiti z dwiema łaniami swego gatunku oraz dwiema łaniami perskiego jelenia. Jeszcze nieco dalej spotykamy się z całem stadem wapiti perskich, ałtajskich i z Jeniseju. Następnym, spotkanym dnia tego okazem był trzyletni łoś, — byk, ogryzający liście drzew, wśród których stał ukryty tak, że tylko wprawne oko mogło go dostrzedz.

W dalszym ciągu tego dnia widzieliśmy trzy jelenie Dybowskiego, pasące się na doskonałem pastwisku. Największy z nich i najstarszy należał do kupionych, dwa zaś inne urodziły się już w Pilawinie, i przedstawiały bardzo piękne okazy swego gatunku. Starszy miał rogi czyste, gdy młodsze dwa jelenie miały jeszcze na rogach „aksamit“. Grupa ta była tak malownicza na uroczym pejzażu, że sam ten jeden widok okupił już fatygę przyjazdu z Anglii, i to tem bardziej, że już potem w ciągu następnych dni nie spotykaliśmy tego gatunku jeleni w Pilawinie“.

Zgodnie z obserwacyą hrabiego Potockiego Ly-

dekker utrzymuje, że jelenie Dybowskiego nie wydają żadnego „ryku" podczas rykowiska, i że odznaczają się właśnie zupełnem milczeniem w tym okresie.

Tego samego dnia jeszcze nasz sportsmen widział grupę łosi, — klempę z dwoma cielętami, a wszystko w doskonałej kondycyi, co dowodzi tylko, że łosie znalazły tu wszystkie warunki do prosperowania.

Lecz ostatni moment wycieczki tego dnia ukoronował wszystkie inne. Oto na polance otoczonej wysokim, sosnowym borem, stała piękna grupa zwierząt, złożona z czterech żubrów i dwóch bizonów. Wygląd ogólny zwierząt dowodził doskonałego bytu i życia wśród warunków naturalnych i najzupełniej właściwych.

Grupa żubrów składała się z byka, dwóch krów, ofiarowanych do Pilawina przez Cesarza Rosyi, i z cielęcia urodzonego już w parku miejscowym. Żubry pochodzą z Białowieży, zaaklimatyzowały się w Pilawinie doskonale, i jest nadzieja, że utworzy się tu z czasem stadko nie gorsze od stada księcia Pless na Szlązku.

Tu autor książki zwraca uwagę swych angielskich czytelników, że ponieważ żubr utrzymał się dziś jedynie w Polsce, nazwa angielska jego „aurocs" niewłaściwą jest dla tego jedynego przedstawiciela europejskiego bizona, który się stał dziś wyłącznie polskim, i dlatego winien on nosić nazwę tak, jak ona brzmi w Polsce—żubr,— po angielsku — zoobre.

Wysokie, drewniane schody i balkoniki urządzone pomiędzy dwoma wysokiemi sosnami, ułatwiły angielskiemu gościowi obserwowanie pięknych zwierząt. Byk manifestował pewnego rodzaju niepokój z powodu bliskiego sąsiedztwa ludzi, wpatrując się bystro w stronę obserwatorów, co nie zbyt usposabiało ich do bliższego poznania zwierza.

Lydekker zachwycony był doskonałym stanem zaaklimatyzowania w Pilawinie łosiów. Wspomina on przy tej okazyi, że książę Bedford z Woburnie próbował niegdyś utrzymać w swym parku łosia, lecz wszelkie próby były najzupełniej płonne: łosie padały — jeden za drugim, tak że ostatecznie Anglia zrezygnowała z możności zaaklimatyzowania na wyspie tego pięknego zwierza; gdy tymczasem w Pilawinie i łoś i wapiti tak się szczęśliwie mnożą, że dziś już polowanie na tę zwierzynę jest najzupełniej możliwe.

Rok, naprz. w którym Lydekker zwiedzał Pilawin, przyniósł 14 sztuk cieląt łosia. Objaśnić to należy wyjątkowo sprzyjającymi dla łosia warunkami przyrodniczymi, jakimi są: liczne gąszcze i wody.

Na jednem z jezior autor książki widział piękną scenę z życia tych zwierząt, gdy klempa płynęła z 2-ma cielętami, manewrując tam i z powrotem i najwyraźniej przyzwyczajając swe młode do wody i ćwicząc je w pływaniu.

Cytuje autor także obyczaj roczniaka łosia, który tak się oswoił, że przychodził co dnia do domku myśliwskiego, gdzie go karmiono chlebem. Łoś podchodził do drzwi, wtykał łeb i czekał na swoją porcyę. Jest to jednak rzadki wypadek wobec zwykłej dzikości zwierzęcia.

Łoś zamieszkuje te tylko okolice, gdzie ma duże przestrzenie wolne do swojej dyspozycyi. W Pilawinie nie zbywa im na tem, gdyż wypada po 10 akrów ziemi na sztukę, liczba ich jednak jest ograniczoną, i nie będzie mogła przekroczyć stu, gdy ogólna ilość rogatych może tam dosięgnąć trzystu sztuk.

Obok amerykańskich wapiti hrabia Potocki posiada pewną liczbę azyatyckich przedstawicieli tej grupy, powszechnie zwanej maralami. Te azyatyckie wapiti — wszystkie kupione — należą do gatunku znanego jako ałtajskie wapiti *(Cervus canadensis asiaticus)*, lecz dla którego nazwa sajańskich wapiti byłaby odpowiedniejszą. Z najbardziej północnych przedstawicieli gatunku wapiti posiada Pilawin pół tuzina Jenisejskich, z okolic Krasnojarska, odznaczających się ciemnem ubarwieniem.

Dużo ciepłych słów poświęcił Lydekker na rzecz nadzwyczajnej staranności, porządku i umiejętności, włożonej w pracę około utrzymania i prowadzenia parku przez dyrektora p. Sokalskiego. Chwali też niezmiernie autor całą służbę leśną doskonale obznajmioną ze zwierzyną i z całą terminologią naukową, zoologiczną i botaniczną, co angielskiemu naturaliście niezmiernie ułatwiło zwiedzenie Pilawina.

Ogólne wrażenie z odbytej podróży p. Lydekker wyraził w sposób nadzwyczaj pochlebny dla tego jedynego w swoim rodzaju sportowego przedsięwzięcia, jakiem jest bezsprzecznie i bezkonkurencyjnie Pilawin.

Gustaw Olechowski.

Sonety Myśliwskie.

III.

Chwila zapomnienia.

Gdy zanadto mi ciężko już i źle wśród ludzi,
Gdy zmęczą mnie te ciągłe upadki i wzloty,
Gdy serce w ciągłej walce życiowej się strudzi,
A duszę męczą dziwne, nieznane tęsknoty,

Chwytam strzelbę i idę na błota, gdzie złoty
Kaczeniec pod dotknięciem słonecznem się budzi,
Gdzie kipią ptasie gwary, kłótnie i pieszczoty,
A zdradna topiel oko zielonością łudzi.

Śledzę psa mego kroki z dziwną trwogą w sercu
I zamieram z rozkoszy, kiedy na kobiercu
Traw, stanie w cudnej pozie, jakby posąg żywy —

Wszystkie bóle i troski nikną gdzieś, w przestrzeni,
Twarz się jakąś nieziemską radością promieni,
I znowu jestem wolny, i znowu szczęśliwy!

W. B.

Wiedeńska wystawa trofeów.

W zeszłym miesiącu urządził wiedeński klub myśliwski wystawę trofeów z okazyi 10-lecia istnienia tego klubu. Wystawę tę zwiedził Franciszek Józef. Powitał go następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, prezes honorowy klubu.

Wystawiono 200 okazów wybitnej wartości, śród których wyróżniło się 8 par rogów jelenich, zdobytych na polowaniu w rewirze Bellye na Węgrzech przez arcyksięcia Fryderyka i jego żonę Izabellę. Obok leżała głowa 16-ka, ubitego przez arcyksiężnę d. 22 września 1907 roku na łące Molnar w tymże rewirze. Długość pnia tych rogów wynosiła 110 *cm.*, obwód 26,5 *cm.* Waga wypatroszonego jelenia czyniła 170 *kg.* Poprzedniego dnia arcyksiężna zabiła również 16-taka, nieprawidłowego jednak, który ważył tylko 137 *kg.*

Arcyksiążę Fryderyk zabił d. 17 września 1907 r. 12-taka, wagi 168 *kg.* Arcyksiężna Henryka dała parostki kozła 6-ka, ślicznie uperlone, oraz parostki gemzy, ubitej na Morawiu.

Dalej wystawiono rogi 18-ka nieprawidłowego, które otrzymały pierwszą nagrodę na wystawie w Budapeszcie 1907 r.; rogi te mają niezwykłą rozłożystość, dochodzącą do 156 *cm.*, długość pnia wynosi 114 *cm.*, obwód 27.05 *cm.*, waga rogów = 7.90 *kg.*, jeleń wypatroszony ważył 172 *kg.*

Arcyksiążę Fryderyk otrzymał też srebrny medal za rogi 16-ka wagi 7,40 *kg.* Również srebrny medal

otrzymał ks. Ludwik Esterhazy z Lenti-Zajda w komitacie Żala, za 14-ka, którego rogi ważyły po zabiciu 10,5 *kg.*, a po wyschnięciu — 9,60 *kg.* oraz za 20-ka wagi 9 *kg.*, długości pni 114 i 115 *cm.*, obwodu 26 *cm.*

Ks. Fryderyk Lichtenstein wystawił wspaniałe parostki kozła, zabitego w Lana w Czechach, i otrzymał pierwszą nagrodę, w dziale kozłów. Za szable dzika, zabitego w miejscowości św. Jerzego na Węgrzech, otrzymał pierwszą nagrodę dyrektor Alpejskiego Towarzystwa Górskiego, p. Willibald.

Rzadka gemza z Karyntyi zwróciła na siebie uwagę cesarza Franciszka Józefa, który oświadczył, że parostki tej wysokości spotyka się jedynie u gemz Siedmiogrodzkich. Gemza ta miała parostki o 30 *cm.* w krzywiźnie, a 21 *cm.* prostej wysokości, 9,3 *cm.* rozłożystości i 9,5 *cm.* obwodu u nasady.

Jedyny złoty medal zdobył Ernest baron Wessely za 3 pary rogów jelenich, 6 par rogów danieli, 6 par rogów muflonów i 2 głowy odyńców, zabitych na Węgrzech w rewirze Sziloas i w Czechach w rewirze Zinkow. Srebrnych medali było 26, z których kilka dano za jelenie karpackie.

Książę Karol Trauttmansdorf wystawił 23 par parostków kozłów z Czech i 3 z Galicyi. Pochodzenia galicyjskiego były także tegoż księcia prawidłowe rogi kozła szóstaka o wysokości przeszło 31 *cm.*

Korespondencye „Łowca Polskiego“.

Z Podola *(w kwietniu).*

Wypłynęła ognista tarcza słoneczna na bezbrzeżny ocean błękitnego nieba, i bryzgnęła z wysokości złotem swych promieni. Pękły lodowe okowy, które miesiące całe więziły swobodne wody, zadrgało, zafalowało szafirowe łono wód. Zakołysała się na spienionych grzbietach fal zgrabna łódź, i, niby łabędź, sunie po modrej toni... Zmarszczyła się gniewnie powierzchnia stawu, zakołysały, zapieniły fale...

Jakiż to intruz swem przybyciem ośmiela się zakłócać spokój, tylko co zbudzonym z letargicznego uśpienia zimy wodom? Czyjaż to postać z dubeltówką w dłoni, a oczyma utkwionemi w nadbrzeżne sitowia, widoczną jest na łódce? Kto to?

Ach, znają go przecież wody tego stawu, znają zastępy suchego tataraku! Nieraz poprzednio niosły go fale ku żerującej w pobliżu zdobyczy... Ofiara niejedna trafiona strzałem, krwi purpurową strugą zabarwiła wodę wokoło!...

Kiedyż to było?

Hen, hen! — w jesieni...

Furkocząc skrzydłami, porwała się parka cyranek... On i ona... Gniazdko budować zamierzały... Błysk, huk, smuga dymu... I zielono-głowy kaczorek padł na jasną taflę, a szerokie kręgi pobiegły daleko, daleko... Prysła złotych rojeń nić na zawsze, na zawsze!... I wzbiła się w górę samiczka, — samotna, opuszczona.

A czółno mknęło dalej...

Wychylił się od czasu do czasu z przezroczej toni, czubaty łeb nurka, lub łyska zaszeleściła wśród zżółkłych sitowi...

Stado podgorzałek, o odgłosie do grzechotek podobnym, ze świstem, prując powietrze, przeleciało obok...

Ostatnia krzyżówka wychyliła się z oczeretu. Czajka zakwiliła — niby żałosny płacz niemowlęcia...

Czółno przybiło do brzegu, gdzie rozpoczynał się młody zagajnik. Zrzadka błękitnieje skromny sasanek, bieleje śnieguliczka... Słońce gaśnie w purpurowej zorzy... Z łodzi wyskoczył myśliwy i, ufny w powodzenie, zajmuje stanowisko nad głębokim jarem, pod wyniosłym krzakiem jaworu... Słonki... Lecz próżno do nocy głębokiej czekać on będzie, nie usłyszy już charakterystycznego poświstu, czy też chrapania. Śmiechem przejmującym zaśmieje się sowa, zaskrzeczy lelek, załopoce skrzydło-błonami nietoperz.

A ciąg, a słonki? Niema ich!

Przyleciało ich kilka zaledwie, ciągnęły dzień, dwa... Więc komu los niegodziwy nie pozwolił skorzystać z owych błogosławionych dni ciągu, strzelać, i trafić— też godzien jest pożałowania, i skazany na roczną zwłokę — do ciągu roku 1909. Pierwszego dnia, ciągnęły, chrapały, świstały, — następnie ciągnąć kompletnie przestały.

Nie wiem, czy Nemrodzi podolscy mają na sumieniu jakieś specyalne przewinienia, za które w ten sposób karze ich św. Hubert, czy też pod stromemi skałami Pirenejów, lub nad brzegami modrego Adryatyku tyle, tyle ich padło, — dość, że odkiedy prowadzę kronikę „słonczaną“ (polegającą na opisie ciągu, oraz zapisywaniu pudeł i sztuk zabitych) nie pamiętam tak marnego ciągu.

Zato stojąc niegdyś na stanowisku, miałem sposobność obserwowania 7-miu (wyraźnie siedmiu) wilków, które na odległości stu czy 150 kroków defilowały przedemną w sąsiednim „czarnym“ lesie, skrywając się następnie w dziewiczych gąszczach młodego zagajnika. Ach, gdybyż nie odległość zbyt znaczna, jak na śrótowy strzał z dubeltówki!...

...A tyle, tyle nadziei pokładaliśmy w ciągu tegorocznym! I wszystko zawiodło! Tak bardzo wiele człowiek ma kłopotów, trosk, niepokojów, tak mało, szczególnie na wsi, rozrywek — a jak i te zawiodą — cóż oprócz zgryzot zostaje!

Cieszymy się tem przynajmniej, że zima tegoroczna była nader łagodna, a wiosna sprzyjającą, co się zapewne korzystnie odbije na zwierzostanie.

Zobór.

Z Biało-Rusi. Gub. mohylowska *(w kwietniu).*

Przesyłam do „Łowca Polskiego“ garstkę wiadomości o tutejszych stosunkach myśliwskich. Może wiadomości te znajdą gościnę na kartach sympatycznego tego pisma i zainteresują trochę czytelników, tem więcej, że z kraju tutejszego, stanowiącego dawniej ogromne przestrzenie leśne, zapełnione obficie zwierzyną, bardzo rzadko spotyka się wzmianki na łamach „Łowca Polskiego“.

Zrządzeniem losów, bardzo już dawno opuściwszy moje rodzinne podlaskie strony, mieszkam w mohylowskiej gubernii. Jako myśliwy i kochający naturę, większą część życia spędziłem i spędzam tu wśród wielkich ongi puszcz i borów tutejszych, obecnie jeszcze, pomimo niemiłosiernej siekiery żydów-spekulantów, jaka w ostatnich lat dzesiątku, niezmiernie zmiejszyła leśne przestrzenie i znacznie je przerzedziła, bardzo jeszcze w tej okolicy pokaźnych. I chociaż rzadko się tu spotyka dawne olbrzymy, sosny i dęby, pamiętające pra-stare czasy, a w zamian których pozostało młode ich pokolenie w lasach tutejszych, to jednak gdzie przestrzenie leśne zajmują znaczniejsze obszary, pojawiają się i przemieszkują stale dawnych starych puszcz tutejszych mieszkańcy — łosie, a często i niedźwiedzie, nie mówiąc już o pierzastych mieszkańcach — głuszcach i jarząbkach, których względnie jest sporo.

Na błotach, gęsto tu rozrzuconych i zajmujących nieraz ogromne przestrzenie, spotykają się rzadkie już obecnie bobry. Przed kilku laty zwierzątka te w większej widocznie ilości osiedliły się na jeziorze przy majątku Wiktorynie. Szybko powstała tam cała osada bobrów, składająca się z wielu żeremi. W swoim czasie podałem wzmiankę o pojawieniu się tam bobrów, która była wydrukowaną w „Kalendarzu myśliwskim“. Niestety, od pewnego czasu daje się zauważyć, że żeremi nowych, jak również śladów pracy bobrów około powiększenia istniejących, nie przybywa. Czy to dlatego, że tuż nad jeziorem leży wioska, której ludność może niepokoi bobry. Zupełnie jednak bobry z tej miejscowości nie wyszły. Zeszłorocznej wiosny udało mi się ocalić prawdopodobnie życie jednemu bobrowi. Zwierz ten, przechodząc przez groblę oko-

ło jeziora, na której pracowało przy reparacyi kilkunastu chłopów, został okrążony przez nich i chroniąc się wskoczył do przerwy, napełnionej wodą, i pomimo straszenia go za pomocą pałek przez chłopów, dłuższy czas nie opuszczał swego schronienia, przesiadując po kilkanaście minut pod wodą, od czasu do czasu tylko wynurzając głowę dla nabrania powietrza. Na tę chwilę nadszedłem właśnie; kazałem za pomocą siatki wydostać z jamy bobra i puścić go w stronę żeremi.

Kaczek dzikich po jeziorach i błotkach leśnych bywa tu też sporo. Widocznem jest zatem, że pomimo zmniejszenia się przestrzeni leśnych, zwierzyna jednak znajduje tu odpowiednie i możliwe warunki egzystencyi, i o ile by się udało zapewnić jej — względną opiekę i spokój, ilość zwierzyny powiększałaby się stale. Ale, niestety, warunki do tego dla hodowcy są najgorsze. Z wyjątkiem kilku obywateli, hodowców zwierzyny, którzy starają się o polepszenie jej bytu, zastosowując odpowiednie środki co do ochrony od kłusowników, wilków i t. p., większość myśliwych małą na to zwraca uwagę, i sami polują nieraz, nie licząc się z czasem i jakością zwierzyny, i mało walcząc z kłusownikami. Pożądanem by było, aby ktoś z pp. myśliwych tutejszych zajął się uporządkowaniem tej kwestyi. Pożądanem by było bardzo utworzenie Towarzystwa myśliwych z tutejszych obywateli złożonego, na wzór istniejących w Polsce. Takie Towarzystwo zaprowadziłoby wreszcie jakiś ład i porządek w tutejszem myślistwie. Lud tutejszy jest strasznym niszczycielem zwierzyny. Ciemny, dziki, nieposiadający najmniejszej kultury, tak nieszanujący wogóle cudzej własności, na każdego mieszkańca lasów zapatruje się jako na rzecz większej lub mniejszej wartości, stanowiącej własność tego z nich, kto ją może zdobyć bez względu na to, na czyim gruncie się znajduje w danej chwili lub w jakiej porze roku się ją strzela. Niszczą więc całemi dziesiątkami i setkami gniazda cietrzewi, jarząbków i t. p., wyławiają młode zające, i przy każdej sposobności jeżeli nie mogą zakraść się do danego lasu, pilniej strzeżonego od kłusowników, to czatują na granicach i skoro się ukaże jaka sztuka na ich gruntach, tępią niemiłosiernie. Wszelkie zatem starania myśliwego hodowcy wobec takich sąsiadów nie dają pożądanych rezultatów. Bo łoś, sarna i t. p. niestety, nie uznają przecie granic, i często ze stałych miejsc swego pobytu robią wycieczki w okolice do sąsiednich lasów, gdzie się spotykają ze strzałami kłusowników, przeważnie chłopów miejscowych.

O smutnem i dość wyjątkowem zdarzeniu, świadczącem o dzikości ludu tutejszego, można sądzić z następującego faktu: W większych lasach należących do obywatela, p. X. od lat kilku pojawiły się łosie, i dzięki względnej tam ciszy i pewnemu nadzorowi, ilość przybyszów stale się powiększała corocznym przychówkiem młodych łosi. Łosie były dość pilnie strzeżone przez straż leśną p. X., znanego myśliwca-hodowcy i, wypadków zabijania ich przez kłusowników wewnątrz lasów wzmiankowanych nie było. Ale skoro łosie przekraczały granice danego lasu, przechodząc na cudze terytorya, to już tam stale były napastowane, i kilka sztuk zostało zabitych, przyczem jedna postrzelona śmiertelnie klempa w roku zeszłym, w pobliżu widocznie granicy stałego swego pobytu, zdołała jeszcze przejść do swego ustronia i tam na łączce padła, gdzie też została znalezioną przez straż leśną miejscową. Otóż zimy ubiegłej (1908 r.), w końcu marca, od stada łosi, składającego się jeszcze z 5 — 7 sztuk, i od dłuższego czasu stojącego w pewnem zacisznem miejscu we wzmiankowanych lasach, oddaliła się łosza, widocznie spłoszona przez chłopów, zajętych w lesie rąbaniem drew, i następnie niepokojona przez przygodnie wałęsające się psy chłopskie, przeszła do sąsiedniego lasu rządowego, a ztamtąd na pola poblizkiej wsi. Wskutek bardzo głębokiego tej zimy śniegu, pomimo zamarzniętej powierzchni nie mogącego utrzymać ciężaru zwierza, łosza niepokojona przytem przez psy, była bardzo zmęczona szybkim biegiem po głębokim śniegu. Skoro z wioski chłopi spostrzegli łoszę, wysypało się ich ilu było mężczyzn i bab i ci rozpoczęli formalną obławę na biedną łoszę. W końcu przy pomocy psów i powrozów, nie szczędząc zapewne i uderzeń pałkami, chwycili łoszę, powalili na śnieg i już zupełnie osłabionej strasznymi wysiłkami w czasie ucieczki po głębokim śniegu, założyli powróz na szyję, i ciągnąc za powróz ten, zaczęli wlec nieszczęsną ofiarę do wsi. Łosza pobudzana biciem i ciągniona na powrozie, oraz straszona wyciem tłumu roznamiętnionego rzadkiem dla niego widowiskiem, przeszła pewną przestrzeń drogi, ale nakoniec wyczerpana zupełnie, pomimo energicznych starań tych dzikich łowców, iść dalej nie mogła i padła na śnieg. Wtedy przedsiębiorczy i sprytni w takich razach „łapciarze“, związali swej ofierze nogi i zatrzymawszy tuż przejeżdżającego chłopa, wwalili mu na sanie związaną łoszę i w tryumfie powieźli do wsi, wrzeszcząc przytem niemiłosiernie. Tutaj jednak spostrzegli się, że przyswoić ją sobie wobec tylu wspólników było i niekorzystnie i niebezpiecznie, zatem główni bohaterowie tego polowania uradzili zawieźć łoszę miejscowemu rządowemu nadleśnemu, p. Justowowi, mając pewność, że za taką rzadką sztukę dostaną od niego na dobry „mohorycz“. Projekt ten wnet wykonali, nadleśnego jednak nie zastali w domu, ale łoszę pomieścili w jego stajni. Łosza jednak wskutek strasznego zmęczenia przeżyła tam tylko jedną dobę i padła. Okazało się, że była ona cielną. Znaleziono w niej zupełnie już sformowanego cielaka. Widocznie była to jeszcze młoda klempa, bo stare sztuki zwykle mają po dwoje młodych. Wskutek starań zarządu lasów, z których pochodziła łosza, został spisany protokół przez miejscową policyę o całem tem zajściu, i winni mają być pociągnięci do odpowiedzialności. Czy będą jednak ukarani, nie wiadomo, wobec niezwykłych warunków schwytania łoszy. Według prawa winni czy to zabicia, czy schwytania w inny sposób samicy łosia podlegają pewnej karze. Ciekawem bardzo byłoby zdanie pp. prawników w tej kwestyi.

Smutny ten bardzo wypadek świadczy o dzikości tutejszego ludu, wobec której tak trudno dojść do dobrych zwierzostanów. Oczywiście to samo dzieje się i z inną zwierzyną, a już biedne kaczki szczególnie na błotach, znajdujących się na terytoryach chłopskich, są też bez litości tępione. Miejscowa pseudo-inteligencya wiejska, tacy nauczyciele ludowi, „objezdczycy“ lasów rządowych i t. p., nie wiele się różnią pod tym względem od swych młodszych braci, i wcale nie dają im dobrego przykładu co do przestrzegania prawideł o polowaniu; przytem nadzór ze strony policyi jest słaby, a i lepszego trudno wymagać wobec liczebnie małej ilości tej policyi.

Może zadługo rozpisałem się o tym wypadku z łoszą, kończę więc o tem. Oprócz od chłopów, cierpi tu szlachetna zwierzyna i od wilków. Z tymi jednak prowadzi się bądź co bądź walka i ilość ich zmniejsza się znacznie. Oprócz urządzonych obław i t. p. na wilki, padają one i od trucizny. Niżej podpisanemu udało się tej zimy struć dwa wilki strychniną, którą była spreparowana owca i położona w odpowiedniem miejscu w lesie. Struły się też wkrótce po wilkach pod koniec zimy dwa orły-bieliki.

Wiosna u nas stosunkowo opóźnia się. Do pierwszych dni kwietnia mieliśmy tu jeszcze całe masy śniegu w lasach i na polach, i spore przytem przymrozki. Spowodowało to duże straty w drużynach ptactwa powracającego na wiosnę z ciepłych stron. Gęsi dzikie, żórawie i t. p. musiały znosić straszne męczarnie głodowe, znalazłszy tu ziemię i wodę pod masą śniegów i lodów. Znajdowano też w okolicy dużo nieżywych ptaków, które zginęły z głodu i mrozu. Ciąg słonek już się rozpoczął, ale jak dotąd bardzo nieobfity.

Sylvan.

OGÓLNE ZGROMADZENIE.

W d. 13 maja odbyło się budżetowe i wyborcze Ogólne Zgromadzenie Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa. Zebrało się Członków przeszło siedemdziesięciu. Na prze-

wodniczącego Zgromadzeniu zaproszono hr. Ksawerego Branickiego, który z kolei zaprosił na asesorów pp. Franciszka Ejsmonda i Edwarda Ordę, a na sekretarza Ogólnego Zebrania p. Władysława Ślaskiego.

Po zatwierdzeniu protokółu z poprzedniego Ogólnego Zgromadzenia, sporządzonego przez p. Stefana Chomiczewskiego, przystąpiono do obrad nad projektem budżetu na r. b., który przedstawiła Rada. Budżet przewiduje w dochodach i wydatkach sumę 37,600 rb. Niezależnie od Rady ułożyła preliminarz budżetu Komisya Rewizyjna. Wytworzyła się przeto kwestya, czy na Ogólnem Zebraniu może być rozpatrywany projekt budżetu Komisyi Rewizyjnej lub jakikolwiek inny projekt, z wyjątkiem projektu Rady.

W sprawie tej zabierali głos pp.: W. Paszkowski, Br. Wysocki, Gierlicz, J. Sztolcman i p. A. Wysocki jako przedstawiciel Komisyi Rewizyjnej. Rzecz naturalna, że Zebranie przyszło do przekonania, iż żaden inny projekt budżetu, prócz Rady t. j. Zarządu Towarzystwa, rozpatrywany być nie może. Paragrafy 70 i 71 ustawy Tow. tak wyraźnie określają atrybucye Komisyi Rewizyjnej, że pod tym względem nie mogło być żadnej wątpliwości. Praktyka licznych lat i całej masy instytucyj w kraju i zagranicą nie daje przykładu, aby kiedykolwiek i gdziekolwiek Komisya Rewizyjna występowała z własnym projektem budżetu. Już samo etymologiczne znaczenie nazwy Komisyi wskazuje, że jest ona organem rewidującym i kontrolującym przeszłość, a nie stanowiącym o przyszłości instytucyi. Projektu budżetów nie mogą układać i pojedyńczy członkowie, gdyż tylko Zarząd danej instytucyi, rozporządzając odpowiednim materyałem cyfrowym i doświadczeniem, nabytem w ciągłości pracy w danej instytucyi, może preliminować dochody i wydatki, najbliżej prawdy będące.

Co innego jest dyskusya nad poszczególnemi pozycyami budżetu. Ta jest zawsze dopuszczalna i pożądana. Daje ona pole do wypowiedzenia się Członkom z ich poglądami i potrzebami, które mogą stanowić do pewnego stopnia dyrektywę działalności Zarządu. Niestety, dyskusya w tym kierunku nie poszła. P. A. Wysocki nie chciał uznać przekonywających argumentów swoich przeciwników, powołujących się na §§ ustawy i *usus*, lecz popierał myśl rozpatrywania projektu budżetu sporządzonego przez mówcę oraz pp. Eksnera i Awenarjusa, nie uznawał on przeszkód do rozpatrywania tego projektu już nie jako projektu Komisyi Rewizyjnej, lecz jako Członków mających głos na Ogólnem Zebraniu. Dyskusya ta wyczerpywała czas Ogólnemu Zebraniu nieprodukcyjnie, to też p. Gierlicz postawił wniosek o zamknięcie dyskusyi i głosowanie nad projektem budżetu Rady. Ogólne Zebranie wniosek ten przyjęło i rzeczony projekt zatwierdziło *en bloc*.

Na poprzedniem Ogólnem Zgromadzeniu mówiono o potrzebie stworzenia jakiegoś źródła, w którem Członkowie mogliby zaopatrywać się w rasowe psy myśliwskie, i w tym celu zaprojektowano założenie psiarni zarodowej, z której szczenięta sprzedawanoby Członkom. Projekt ten omawiano dość szeroko, ponieważ jednak trudno było narazie powziąć jakieś postanowienie, na wniosek p. Paszkowskiego Zebranie postanowiło przekazać tę sprawę do obrobienia szczegółowego Wydziału popierania hodowli psów rasowych i wyasygnować do jego rozporządzenia 1000 rb. rocznie, które użyte byłyby na cele zaopatrzenia Członków w tak pożądane, rasowe szczenięta, ewentualnie zaś, gdy z oszczędności w tym kierunku zbierze się odpowiednia suma, można ją będzie zużytkować na założenie psiarni zarodowej. Wydział na specyalnem posiedzeniu sprawę tę rozpatrywał szczegółowo i przedstawił na Zgromadzeniu dwa projekty: albo założenie psiarni, która na zakup 3 suk i instalacyę wymagałaby jednorazowo wydatku 2000 rubli i na utrzymanie rocznie po 1000 rubli — albo zbieranie zapisów Członków i dostarczanie im szczeniąt z renomowanych, znanych psiarni poważnych hodowców z Cesarstwa, gdzie hodowla psów stoi bardzo wysoko, lub z zagranicy. Ten drugi projekt wymagałby wydatku 1000 rub. rocznie, ale już tylko na koszta sprowadzania szczeniąt i utrzymanie odpowiedniego tresera, który zająłby się wychowem i układaniem nabytych przez Członków piesków, naturalnie, za oddzielnem wynagrodzeniem.

I nad tym przedmiotem wywiązała się ożywiona dyskusya. P. A. Wysocki twierdził, że poprzednie Ogólne Zgromadzenie uchwaliło dać Wydziałowi 1000 rub. rocznie na psiarnię, a nie na pośrednictwo w sprowadzeniu szczeniąt, p. dr. Czaplicki również oświadczył się za założeniem psiarni; p. St. Lilpop był zdania, że jeden treser nie wystarczy na potrzeby Członków Towarzystwa, wreszcie p. Paszkowski, jako wnioskodawca wyjaśnił, że stawiając swój wniosek w tym przedmiocie, przedstawił rzecz tak, jak jest zapisana w zatwierdzonym już na początku posiedzenia protokóle. Dr. Gajzler uważał, że zaopatrywanie Członków w szczenięta przez pośrednictwo Wydziału na razie uczyniłoby zadość potrzebie. Wreszcie uchwalono wniosek następujący: sprowadzać na zamówienie Członków szczenięta rasowe, a kwestyę założenia psiarni poddać dalszym badaniom i studyom; do budżetu Wydziału popierania hodowli psów rasowych wprowadzić asygnowane na poprzedniem Zebraniu 1000 rubli.

Na tem obrady zakończono i przystąpiono do wyborów, których rezultat jest następujący:

na prezesa Oddziału wybrano p. M. Blumentala, który te obowiązki sprawował już od śmierci generała Iwanowa;

na sekretarza powołano ponownie p. Wacława Paszkowskiego;

na kasyera p. Władysława Jacobsona.

na Członków Rady wybrano pp. szambelana M. Jaczewskiego, O. Saengera, J. Zarembskiego, A. Piędzickiego, W. Starzyńskiego, A. Jacuńskiego, Wł. hr. Wielopolskiego i H. Dziedzickiego.

Do Wydziału Ochrony i Polowań wybrano:

na przewodniczącego p. Władysława Słonczyńskiego;

na Członków Wydziału pp.: J. Zarembskiego i C. Lissowskiego.

Do Wydziału popierania hodowli psów rasowych:

na przewodniczącego wybrano p. Aleksandra hr. Ilinskiego-Kaszowskiego;

na sekretarza p. Jana Sztolcmana;

na Członka Wydziału p. O. Saengera.

Do Delegacyi Wyborczej wybrano pp.: Tyrchowskiego, Gepnera, Dzięgielewskiego, Karpińskiego, Szuszkowskiego Jul. i Szuszkowskiego Alek. na Członków, a na zastępców pp.: Słonczyńskiego, Kauna i Gellę.

Wystawa psów.

Tegoroczna wystawa psów budzi szerokie zainteresowanie. Wprawdzie do chwili, gdy to piszemy, zapisano okazów niewiele, ale w biurze wystawowem jest nieustanny ruch przyszłych wystawców, którzy informują się ustawicznie o warunki przyjęcia eksponatów.

Wystawcy zgłaszają się nietylko z Warszawy i Królestwa, lecz przychodzą zamówienia miejsc z Cesarstwa i zagranicy. Z Galicyi jest kilka propozycyj od przyszłych wystawców, a zakład Zoologiczny z Krakowa zamierza nadesłać 30 okazów psów myśliwskich, użytkowych i luksusowych.

Wobec takiego stanu rzeczy należy przypomnieć panom wystawcom, że teren wystawy z konieczności ogranicza się do niewielkiej ilości boksów, opóźniający się przeto z zamówieniem miejsca mogą pozostać na koszu pomimo najszczerszych chęci Komitetu wystawowego. Dlatego radzilibyśmy zapisy w roku bieżącym przyśpieszyć, nie czekając na ostatnią chwilę.

Roboty około urządzenia Wystawy posuwają się raźno naprzód. Ogródek uporządkowano, boksy rozlokowano odpowiednio, zdezynfekowano należycie i zarządzono wszystko na przyjęcie okazów.

Otwarcie wystawy odbędzie się d. 21 b. m. o godz. 11-ej rano. Wejście w dniu otwarcia kosztować będzie 1 rub., a następnych 30 kop. Dzieci i kształcąca się młodzież płaci połowę ceny.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady, 6 maja. P. gubernator siedlecki nadesłał wykaz broni, odebranej przez straż ziemską w roku zeszłym. Wykaz ten obejmuje 404 sztuki broni myśliwskiej. Wobec tego Rada postanowiła wysłać na ręce p. gubernatora 202 rb. na nagrody dla straży ziemskiej gub. siedleckiej.

W Lućmierzu p. Boettichera zajęto część terytoryum wraz z miejscami ochronnemi pod ćwiczenia artyleryi i na plac do strzelania dla piechoty. Ponieważ takie zarządzenie wyniszczyłoby doszczętnie obfity w tych miejscach ochronnych zwierzostan, zaprowadzony z dużym nakładem pieniędzy i pracy, Rada, otrzymawszy o tem wiadomość, wysłała stosowne przedstawienie do gubernatora i otrzymała właśnie pocieszającą wiadomość, że potrzeba zajęcia tego placu już minęła i nadal miejsca ochronne w Lućmierzu nie będą strzałami niepokojone.

Z żałobnej karty.

W dniu 11-ym maja zmarł w Warszawie **ś. p. dr. Mieczysław Korzeniowski,** znany chirurg, ordynator szpitala Dzieciątka Jezus. Śmierć wydarła z naszych szeregów człowieka, po którym najlepsze zostaje wspomnienie.

Oddany pracy zawodowej całą duszą, zapomniał o sobie, myśląc nieustannie o swoich chorych. Pomimo młodych lat — boć życie zakończył, przeżywszy zaledwie 46 lat—zażywał powagi zarówno wśród swoich kolegów, jak i wśród cierpiących, którym niósł ulgę i pomoc lekarską. A jednały mu to uznanie i wiedza gruntowna, i praca usilna, ale przedewszystkiem budziła dlań szacunek i zaufanie całkowite kryniczna czystość jego charakteru. Prostota i szczerość tego męża bez skazy była wprost wyróżniającą. Długoletnia choroba piersiowa trawiła organizm, ale gdy koledzy namawiali ś. p. Korzeniowskiego do odpoczynku, który mu zawsze widoczną ulgę sprawiał, mało zwracał uwagi na ich rady i pracował dalej. Przed paru miesiącami zdrowie pogorszyło się znacznie, wówczas wyjechał na południe. Było jednak zapóźno na uleczenie choroby, która się już w całym organizmie rozpanoszyła. Czując niebezpieczeństwo, ś. p. Korzeniowski powrócił, aby położyć głowę w kraju, dla którego gorliwie i z pożytkiem pracował.

Wczasy swoje letnie i chwile wypoczynku w latach ostatnich spędzał najchętniej ze strzelbą w polskiej lub poleskiej kniei i taki odpoczynek zawsze dobroczynne dla jego zdrowia sprowadzał skutki. Niestety, tym odpoczynkom zamało chwil poświęcał. Będąc członkiem Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa pr. myślistwa, ś. p. Korzeniowski często przebywał w gronie myśliwych, którzy dziś z prawdziwym smutkiem myślą o tem, że już go wśród siebie nie mają. Rozwój choroby nie przedstawiał już oddawna żadnej nadziei, gdy jednak rozeszła się wieść o zgonie naszego miłego towarzysza, wszyscy odczuli tę stratę głęboko, a na ustach zawisły słowa z serca płynące „niechaj Ci ziemia lekką będzie!“.

J. Z.

Drobiazgi myśliwskie.

Szczątki mamuta pod Krakowem. Na stokach góry św. Bronisławy, na której szczycie wznosi się kopiec Kościuszki, przy prowadzonych tam robotach fortyfikacyjnych, zauważył oficer inżynieryi, że między wyrzuconą ziemią znajdują się wielkie odłamy kości. Zalecił robotnikom ostrożność, przypuszczając, że mogą to być odłamy szkieletu przedpotopowego zwierzęcia. Dano znać do uniwersytetu Jagielońskiego, przesyłając jeden ze znalezionych zębów i prosząc o wydanie opinii. Ząb uznano w gabinecie prof. Szajnochy za istotnie pochodzący od mamuta. W najbliższym czasie, przeprowadzone będą badania na miejscu, które określą bliżej wiek i pochodzenie mamuta, oraz pozwolą zebrać dalsze części szkieletu.

Myślistwo w Niemczech. Sądząc tylko z eksportu zwierzyny z Niemiec, można się przekonać, że jest to kraj myśliwski *par excellence.* W państwie bojaźni Bożej liczy się nie mniej ni więcej, tylko 600,000 myśliwych, co stanowi setną część całkowitej ludności. Dochód, jaki daje skarbowi sama opłata świadectw myśliwych, sięga 6 milionów marek. Waga zabitej przez rok zwierzyny wynosi 25 milionów kilogramów, a wartość jej równa się 25 milionom marek. W cesarstwie niemieckiem pada rocznie 22,500 jeleni, 13,000 danieli, 190,000 sarn, 14,000 dzików, 4 miliony zajęcy, 500,000 królików, 4 miliony kuropatw, 15,000 przepiórek, 250,000 bażantów, 40,000 dzikich kaczek, 80,000 bekasów, 65,000 słonek, 1,300 dropi i 2 miliony kwiczołów, paszkotów i drozdów.

Jeśli się weźmie nadto pod uwagę, że fabrykacya różnych przedmiotów z rogów jeleni i danieli, przynosi robotnikom około miliona dochodu, to będziemy mieli pojęcie o ważności ekonomicznej myślistwa w Niemczech.

Zwrócić musimy uwagę, jak małą jest ilość zabijanych rocznie królików w stosunku do innej zwierzyny. Przyczyna tego leży niewątpliwie w surowem stosowaniu prawa tam, gdzie chodzi o wynagrodzenie za szkody, zrządzone przez króliki.

Przewód pokarmowy zwierzyny. Wpływ odżywiania na przewód pokarmowy, a oprócz tego i na wszystkie prawie organy, bywa niekiedy bardzo znaczny, jak świadczą o tem badania Schepelmanna. Uczony ten karmił gęsi bądź mięsem, bądź ziarnem lub kaszą. Szczególnie ważne są wyniki doświadczeń, dotyczące zmian w przewodzie pokarmowym, a to z tego względu, że przeczą obecnym poglądom w tej kwestyi. Z anatomii porównawczej wiadomo, że ptaki drapieżne mają żołądek o ścianach cienkich, przeciwnie ptaki, spożywające pokarm roślinny, posiadają żołądek o ścianach grubych; jelito u pierwszych jest krótkie, u drugich — bardzo długie, co zresztą wskazywał już Cuvier. Wspomniane fakty zostały stwierdzone doświadczalnie między innemi przez Babaka i Houssaya. Babak karmiąc kijanki wyłącznie mięsem, przekonał się, że jelito wskutek tego staje się znacznie szersze i o połowę krótsze, niż w normalnych warunkach odżywiania. Wyniki badań Houssaya nad kurczętami były analogiczne: pod wpływem pokarmu mięsnego wszystkie części przewodu pokarmowego, wole, żołądek i jelito podlegają znacznej redukcyi. Schepelmann stwierdził, że gęsi odżywiane mięsem, mają jelito znacznie dłuższe, niż gęsi odżywiające się normalnie; stosuje się to zwłaszcza do jelita cienkiego, gdyż wydłużenie kiszki grubej i ślepej jest nie tak znaczne. Ciężar, średnica i powierzchnia kiszki grubej i ślepej wykazują również stosunki większe, niż u gęsi karmionych ziarnem; gęsi karmione kaszą zajmują miejsce pośrednie. Wyniki wspomnianych doświadczeń przemawiają do pewnego stopnia na korzyść pewnych obserwacyj, na które dotychczas nie zwracano uwagi; niektórzy anatomowie, jak Werner, Custor i inni zwrócili już uwagę na znaczne wydłużenie przewodu pokarmowego u niektórych ssaków mięsożernych i ptaków drapieżnych; być może, długość przewodu pokarmowego u ptaków, jak przypuszcza Brant, pozostaje w związku z mniej lub więcej rozwiniętą zdolnością do lotu. Wreszcie być może również, we-

dług Oppela, że odżywianie zupełnie nie wywiera wpływu na budowę przewodu pokarmowego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Stanisławowi hr. Colonna-Czosnowskiemu. W sprawie karabinów bez huku możemy tylko dodać, że wiadomość obiegła niemal wszystkie pisma codzienne. Pomimo to należy jeszcze poczekać na sąd fachowy pism strzeleckich. Dodać możemy jeszcze, że świeżo jeden z tygodników w rubryce „Świat wiedzy" pisze pod tytułem „Zdobycze techniki broni palnej" co następuje: „Pisma amerykańskie donoszą o nowych zdobyczach techniki broni palnej. Po prochu bezdymnym przyszła kolej na broń niewydającą huku przy wyrzucaniu śmiertelnych pocisków. Wynalazcą jest znany inżynier wojskowy, Hiram Maxim, którego dziełem rozgłośnem są już karabiny maszynowe. Nowy wynalazek zachowują dotychczas w jaknajwiększej tajemnicy; prawdopodobnie jest on skonstruowany, podobnie jak aparaty tłumiące przy automobilach. W lufie znajduje się niedaleko ujścia specyalny wentyl, powodujący powolniejsze uchodzenie gazów wybuchowych. Nieliczne szczegóły, jakie przedostały się do wiadomości ogółu, nie mogą naturalnie wytworzyć dokładnego obrazu wynalazku, dają jednak przynajmniej pojęcie o jego zasadzie, przyszłość zaś pokaże, o ile w zastosowaniu okaże się ona praktyczną".

Treść Nr. 10 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Admistracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Najlepszy bezspornie pokarm dla psów
PATENTOWANE
pastylki dla psów **FATTINGERA.**



Fabryka patentowanych pastylek dla psów i **pokarm dla ptaków**

FATINGERA

Wiener Neustadt (Austrja).

Dostawca cesarskich i książęcych polowań, instytutów weterynaryjnych w Wiedniu, Budapeszcie, Pradze i wielu innych.

Cena za pud rb. 3 kop. 95.

Główny przedstawiciel na Królestwo Polskie

LEOPOLD FUKS

WARSZAWA,

Jerozolimska 59. 19

Prosimy żądać prospektów i prób.

Pierwszorzędne

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Z. Jasińskiej 30

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony i cudzoziemki.

ul. Włodzimierska 19
w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Nowy-Swiat 35).

Nad Nilem Niebieskim

przez

Jana Sztolcmana,

z ilustracyami

Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu Józefa hr. Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślone notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom, krainie.

Wydanie ozdobne, z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

„Prenumeratorowie Łowca Polskiego" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Nowy-Świat 35) po **4** rub.

Leśniczy

żon. w śred. wieku z praktyką królewskich lasów, posiadający bardzo dobrą 4-letnią samodzielną praktykę, znający się na urządzeniu wielkich polowań, zajmujący obecnie posadę na Śląsku, poszukuje miejsca w Królestwie lub Rosyi zaraz lub później, jako leśniczy, kontroler leśny lub kasyer. Zgłoszenia przyjmuje Leśniczy (Förster) im. Rittergut. Dalbersdorf bei Reesewitz. Schlesien Kreis Gross-Wartenberg. 35

Wyżły do sprzedania:

Ułożone: Pies rasy niemieckiej w 3-ciem polu rb. 125. Suka ostrowłosa w 4-tem polu, szczenna, rb. 120. Pointer w 1-szem polu, konkursowiec rb. 250.

W tresurze: Pies ostrowłosy rb. 150. Suka pointer rb. 150. Suka gordon rb. 180.

Ostatnie oddane będą po ukończeniu tresury.

Szczenięta ostrowłose 5-cio miesięczne po rb. 40.

Jamniki roczne i starsze od rb. 35-ciu wszystkie psy wysokiej rasy z rodowodami.

W. MAJEWSKI, w Zwierzyńcu przez Skierniewice. 5

„Jaja bażancie

z gwarancyą 80% zapłodnienia od oryg. angielskich obrączkowych bażantów będą na sprzedaż od 15 kwietnia do 31 maja 1908 roku

po 30 kop. sztuka.

Zamówienia przyjmuje Zarząd maj. Żabokrzycz p. Krzyżopol Podolskiej Gubernii

Opakowanie na koszt zamawiającego.

BAŻANTY TORQUATUS, czystej krwi, koguty, sprzedaje po rubli osiem, bażantarnia Opaleń. — Saenger, Długa 28. 11

LEŚNIK

posiadający kilkoletnią praktykę w wzorowo prowadzonych dobrach, obznajmiony z prowadzeniem kultur leśnych i szkółek, eksploatacyą lasu i przeróbką drzewa na tartaku, — poszukuje posady leśniczego.

Oferty przesyłać proszę: **poste-restante Włodawa Siedleckiej gub. dla N-a.** 4

Kupuję bitą zwierzynę

Płacę dobrze.

Chłodna 39, m. 5. 32

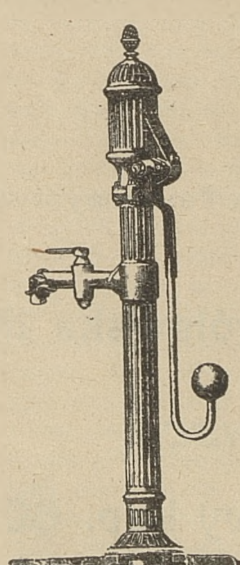
ROMUALD WIĘCKOWSKI 2

Adwokat przysięgły. **** Chmielna 22

LESNIK

kawaler, lat 35, posiadający kilkunastoletnią praktykę, obznajmiony gruntownie z prowadzeniem kultur i szkółek, tresurą psów, prowadzeniem polowań i technicznemi czynnościami, poszukuje posady leśniczego samodzielnego lub nadleśnego.

Oferty w Redakcyi „Łowca Polskiego" Nowy-Świat 35, pod lit. **R. G.** 33



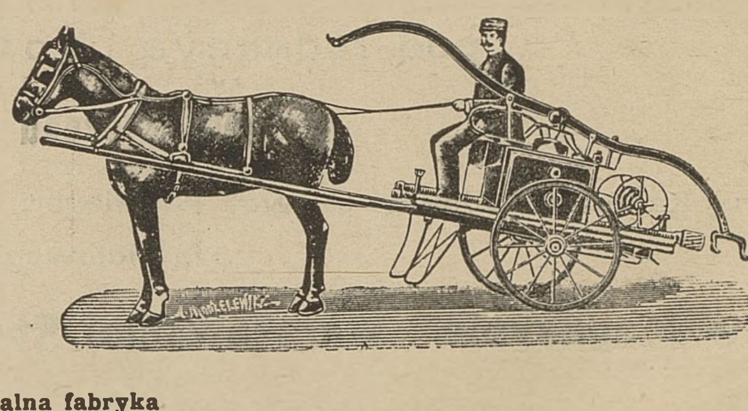
POMPY STUDZIENNE
POMPY

do celów rolniczych i przemysłowych

SIKAWKI

PRZYBORY

DLA STRAŻY OGNIOWYCH



poleca specyalna fabryka

STANISŁAW TRĘBICKI i S-ka

Warszawa, Marszałkowska № 71. **Telefon 10-30.**

CENNIKI I OFERTY NA ŻĄDANIE. 18

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.